

JOANNA BAGRIJ

RA

Jakie tajemnice

MIE

kryje mroczna toń

NICE

Jeziora Binowskiego?



JOANNA BAGRIJ

RA
MIE
NICE



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz
Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska
Korekta: Małgorzata Lach
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © stone36 / Stock.Adobe.com
Wyklejka: © Henryk Niestrój / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2025 by Joanna Bagrij

Copyright © 2025, Mova an imprint of Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2025
ISBN 978-83-8371-663-3

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



Prolog

„Dziennik Szczeciński”, 12 października 2010 r.

MAKABRYCZNE ZNALEZISKO W ŚRODKU SZCZECIŃSKIEGO LASU – WĘDKARZE ODKRYLI ZWŁOKI W SKALNEJ GRODZIE!

W Puszczy Bukowej, w sąsiedztwie miejscowości Węglino w poniedziałek około godziny trzynastej dokonano makabrycznego odkrycia – w jednej ze skalnych grot na brzegu jeziora Węglinko odnaleziono ciało. Ze względu na prawdopodobieństwo popełnienia przestępstwa dochodzenie przejęła Komenda Wojewódzka Policji w Szczecinie. Policjanci z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego wraz z prokuraturą przeprowadzili już czynności śledcze i zabezpieczyli miejsce zdarzenia.

– Na skutek obniżenia poziomu wód gruntowych i naturalnego procesu osuszania terenów podmokłych odsłoniło się wejście do groty, w której znajdowały się zwłoki w zaawansowanym

stanie rozkładu. Na ten moment nie znamy tożsamości ofiary ani przyczyny zgonu. Medyk sądowy dokonał oględzin i zlecił transport ciała do Zakładu Medycyny Sądowej w Szczecinie. W najbliższych dniach zostaną przeprowadzone sekcja zwłok oraz analiza uzębienia i materiału genetycznego. Na miejscu wciąż pracują policyjni technicy, którzy starają się zabezpieczyć dowody potencjalnie wskazujące na popełnienie przestępstwa – poinformował podkomisarz Kajetan Szymaniuk, oficer prasowy Komendy Wojewódzkiej w Szczecinie.

Świadkowie, którzy powiadomili policję, relacjonują, że znalezione przez nich ciało należy do kobiety. Według mężczyzny zwłoki ubrane były w damskie ubrania, czego na razie nie potwierdziła szczecińska komenda. Obecni na miejscu funkcjonariusze służący w zlikwidowanym Posterunku Policji w Starym Czarnowie sugerują, że ofiarą może być szesnastoletnia Hanna Lackowiak zaginiona w czerwcu dwa tysiące szóstego roku. Jak udało się nam dowiedzieć, na razie rodzina Hanny nie brała udziału w identyfikacji zwłok ani nie została oficjalnie poinformowana o znalezieniu ciała. Szczecińska policja milczy także na temat ewentualnego powiązania między tymi sprawami.

Do zaginięcia Hanny Lackowiak doszło podczas obozu harcerskiego zorganizowanego nad Jeziorem Binowskim. Zniknięcie nastolatki zgłosił opiekun grupy. Wieczorem w przeddzień zakończenia wakacyjnego wyjazdu Hanna oddaliła się od kolegów obozujących przy ognisku i udała się w stronę jeziora. Kilku młodocianych, którzy jako ostatni widzieli zaginioną, wspominało, że dziewczyna kręciła się przy ciemnym pojeździe zaparkowanym nieopodal domków letniskowych sąsiadujących z obozem harcerskim. Lokalna policja potwierdza, że właściciel pojazdu marki Volkswagen Golf został cztery lata temu przesłuchany – nic nie wskazywało na to, aby był zamieszany w sprawę.

Poszukiwania Hanny trwały przeszło sześć miesięcy. Ostatecznie prowadząca dochodzenie Prokuratura Rejonowa w Gryfinie przyjęła, że dziewczyna weszła do Jeziora Binowskiego i utonęła. Wskazywały na to przedmioty porzucone na plaży: para kłapek, sweter i dżinsowe szorty. Również psy tropiące, którym nie udało się podjąć tropu poza linią brzegową jeziora, zdawały się potwierdzać to założenie. Hipotezę o utonięciu przypieczętowała należąca do zaginionej bransoletka, na którą wśród glonów natrafiła ekipa nurków. Ciało nastolatki nie udało się jednak odnaleźć.

Wiele osób, w tym rodzina zaginionej, było sceptycznych co do przebiegu wydarzeń przedstawionych przez prokuraturę – Hanna cieszyła się opinią doskonałej pływaczki, a Jezioro Binowskie to spokojna toń, bez zdraдлиwego mulistego dna. Dziewczyna nie miała problemów z utrzymaniem się na powierzchni nawet podczas wieczornej kąpieli. Jednak w dniu zaginięcia nastolatka mogła być pod wpływem alkoholu; do spożywania napojów wyskokowych przyznało się kilku młodocianych świadków. Mając na uwadze ten fakt, dowody poszlakowe oraz brak jasnego wskazania na popełnienie przestępstwa, prokuratura umorzyła postępowanie po ośmiu miesiącach.

Odnalezienie zwłok nad jeziorem Węglisko może rzucać nowe światło na sprawę Hanny Lackowiak. Jeśli ciało należy do zaginionej nastolatki, wersja wydarzeń założona przez prokuraturę może być błędna. Możliwe, że Hania zginęła w toni innego akwenu, niż przypuszczali pierwotnie śledczy. Nie jest również wykluczone, że zwłoki zostały przeniesione pośmiertnie do dobru ukrytej skalnej groty. Węglisko od strony północnej otaczają wapienne skały, częściowo zanurzone w wodzie. Ze względu na trudne ukształtowanie terenu i ryzyko utknięcia w szczelinie skalnej nie zapuszczają się w nie nawet doświadczeni lokalni

wędkarze. Dzięki temu to miejsce stanowi doskonałą kryjówkę do ukrycia zwłok.

Nieoficjalnie udało nam się dowiedzieć, że dochodzenie w sprawie zaginięcia i śmierci Hanny Lackowiak zostanie wznowione, gdy tylko potwierdzi się tożsamość odnalezionych zwłok. Śledczy z Komendy Wojewódzkiej i prokuratury będą musieli rozważyć udział osób trzecich i ewentualne popełnienie przestępstwa. Być może rodzina zaginionej w końcu doczeka się przełomu w śledztwie i po czterech latach uzyska odpowiedź, co stało się tamtej feralnej nocy. To nie wróci życia Hani, ale pomoże bliskim uporać się ze stratą.

1

Wpiątek po południu, koło osiemnastej, mieliśmy wyjechać na weekend do domku letniskowego. Kalina wróciła z pracy po siedemnastej, jak zwykle pakowała się bez ładu i składu, biegła po mieszkaniu, wrzucając różne rzeczy do swojej czerwonej torby. Nieco ją popędzałem, bo... no, o dwudziestej chciałem obejrzeć mecz. Zdenerwowała się, że nigdy nie daję jej wystarczająco dużo czasu, że przeze mnie znowu czegoś zapomni, a poza tym wszystko jest na jej głowie. Tradycyjnie zrobiła się nerwówka. Miała przecież cały tydzień, żeby się spakować, ale...

– Gdzie jest ten domek? – przerwał mi funkcjonariusz siedzący po drugiej stronie stołu.

Spojrzałem na niego zirytowany. Gapił się beznamiętnie w ekran laptopa, ospale przesuwając palce po klawiaturze. Wiedziałem, że nie notuje wszystkiego, co mówię, i z opóźnieniem wyłapuje poszczególne informacje. Od momentu, kiedy wyszedł po mnie na dyżurkę, czułem, że nie potraktuje mnie i tej sprawy poważnie. Nadęty dupek.

– W Binowie, nad jeziorem – odpowiedziałem sucho.

– W jakim ośrodku?

– W żadnym.

W końcu przeniósł na mnie wzrok, unosząc brew. W jego oczach dostrzegłem zniecierpliwienie. Westchnął ciężko i machnął dłonią, zachęcając mnie do rozwinięcia wypowiedzi.

– Mam tam niewielki domek – powiedziałem, siląc się na obojętny ton.

– No proszę, bardzo przyjemna okolica. Często tam jeźdźcie? – zapytał, nieco się ożywiając.

– Od wiosny do jesieni to tak co dwa tygodnie, czasem co trzy. To ma jakieś znaczenie?

– Może mieć – odpowiedział i znów spuścił wzrok na ekran komputera. Po chwili dodał: – Sprzeczaście się podczas pakowania i co było dalej?

– Wziąłem nasze torby, poszedłem do garażu, wrzuciłem je do bagażnika. Wsiadłem do samochodu i czekałem na Kalinę. Przyszła po pięciu minutach, rzuciła nerkę na siedzenie i powiedziała, że wraca na górę, by się upewnić, że zamknęła mieszkanie. Zawsze wszystko sprawdza po kilka razy, cierpi na jakiś rodzaj nerwicy natręctw. Zdążyłem się już do tego przyzwyczaić, więc po prostu kiwnąłem głową. Włączyłem Google Maps, wybrałem najszybszą trasę, wszedłem na chwilę na portal z informacjami i tak zleciało kolejne dziesięć minut. Po kwadransie miałem już dość i zadzwoniłem do niej. Nie odebrała. Poszedłem więc sprawdzić, co robi.

– Czy spotkał pan kogoś na klatce? – zapytał policjant, zerkając ukradkiem na wiszący na ścianie zegar.

– A co, będziecie sprawdzać, czy mówię prawdę? – obruszyłem się.

– Tak, będziemy weryfikować to, co pan...

– Jestem o coś podejrzany? – przerwałem mu, podnosząc się z twardego krzesła.

– Proszę pana, na razie to nie wiemy, czy w ogóle można kogokolwiek o cokolwiek podejrzewać. Proszę usiąść. – Uniósł dłonie i uśmiechnął się lekko, chcąc mnie uspokoić.

Nie podziałało. Za bardzo rozpraszała mnie plama po kawie na jego polówce.

– A pan na moim miejscu siedziałby spokojnie? Kurwa mać, moja żona zaginęła! – Umilkłem. Poczułem, jak moim ciałem zaczynają wstrząsać dreszcze. Odwróciłem się do funkcjonariusza plecami, żeby nie mógł widzieć mojej twarzy. Zakryłem ją dłońmi. Chciałem, żeby w końcu zainteresował się zniknięciem Kaliny na poważnie. Od tego przecież była ta cholerna policja.

– Panie Jędrzeju, chciałbym jak najszybciej zacząć działać, ale najpierw muszę się dowiedzieć, co się dokładnie stało. Może... może pana żona... No, musimy ustalić, gdzie teraz przebywa. Na razie nie mamy pewności, że w ogóle coś złego się stało.

Nie wierzył mi. Nie wierzył, że Kalina zaginęła. Próbował mi delikatnie powiedzieć, że po prostu ode mnie odeszła. Pewnie od razu tak pomyślał, kiedy zobaczył jej zdjęcie. Jest cholernie atrakcyjna, taka mocna dziewczątka. Ma kasztanowe włosy do ramion, zgrabny tyłek, wymodelowane przez pilates łydki, nieco umięśnione ramiona. Jedyne, co mi się w niej nie do końca podoba, to nos – za duży jak na tak szczupłą twarz. A ja wizualnie do niej nie pasuję. Nie chodzi o to, że nie jestem przystojny, bo jestem, ale ona wygląda jak babka z biznes klasy, żona jakiegoś polityka czy biznesmena. Nawet gdy wkłada dres, prezentuje się elegancko. Szkopuł tkwił jednak w szczegółach – w jej charakterze.

Usłyszałem lekkie trzaśnięcie drzwiami. Policjant wyszedł z pokoju. Odetchnąłem głęboko i zrobiłem kilka wymachów rękami, żeby się trochę dotlenić. Kuźwa. Siedzę już tutaj dobre

dwie godziny, oczy mnie pieką, dłonie zdrętwiały od zaciskania w pięści, głowa mi napieprza, a żołądek zaczął się samoistnie trawić. W dodatku jest tu tak duszno i gorąco, że pot płynie strużkami po moich plecach. Powinienem posłuchać Maćka i nieco podkoloryzować sprawę dyżurnemu. Może wtedy potraktowaliby mnie z większym szacunkiem.

– Panie Rogudzki, przyniosłem panu kawę – odezwał się policjant, który znów pojawił się w pomieszczeniu.

– Dzięki.

– Proszę usiąść i kontynuujmy. Jak wspomniałem, potrzebujemy szczegółów, by zacząć działać operacyjnie.

– Jasne – odburknąłem.

Odruchowo sięgnąłem po kubek. Kawa smakowała całkiem nieźle, co mnie zaskoczyło. Spodziewałem się parzochy z kożuchem fusów pływających przy powierzchni, a dostałem aromatyczne cappuccino z aksamitną pianką. Cóż, chociaż z tym się postarali.

– No dobrze. Czyli nie spotkał pan nikogo na korytarzu, wracając do domu? – kontynuował funkcjonariusz.

Udobruchał mnie tą kawą, więc odpowiedziałem spokojnie:

– Nie. To znaczy tak, spotkałem. Na pierwszym piętrze minąłem się z Krzyśkiem, wychodził z psem na spacer. Zagadnął mnie i pogadaliśmy z jakiejś pięć, może dziesięć minut. Cały czas jednak zerkąłem na schody prowadzące na nasze piętro i wypatrywałem Kaliny.

– Pod którym numerem mieszka ten facet?

– Pod szóstką.

– Nikt więcej nie kręcił się na klatce?

– Nie... Chociaż pod drzwiami chyba latały dzieciaki Grudzikowskich. Wydaje mi się, że widziałem ich kręczone czupryny.

– Dobrze.

Policjant kiwnął głową i podsunął mi talerzyk z ciastkami. Poczęstowałem się, zanim zadał kolejne pytanie:

– Czy z waszego bloku da się wyjść inaczej niż przez garaż i drzwi do klatki? Są jakieś dodatkowe wejścia?

– Nie ma. Znaczący sąsiedzi z parteru mają ogródki, część z nich zrobiła sobie furtki, więc oni mogą wyjść bezpośrednio na patio.

– Rozumiem. Okej, czyli po rozmowie z panem Krzysztofem...

– Rejchartem.

– ...poszedł pan do mieszkania?

– Nie. Wyszedłem z Krzyśkiem przed klatkę, bo pomyślałem, że może Kalina przed wyjazdem postanowiła jeszcze wyrzucić śmieci i się z kimś po prostu zagadała. Niestety nie znalazłem jej tam. Wróciłem więc do bloku i wdrapałem się na trzecie piętro. Pociągnąłem za klamkę, ale drzwi do mieszkania były zamknięte. Nie miałem swojego klucza, więc nie mogłem sprawdzić, czy Kalina jest w środku. Pomyślałem jednak, że gdy ja wyszedłem na dwór, ona musiała zejść do garażu. Zdziwiłem się tylko, że do mnie nie dzwoni; auto było zamknięte, a ona nie lubi czekać. Nagle uprzytomniłem sobie, że zostawiłem telefon w samochodzie. Zbiegłem więc po schodach, ciesząc się, że w końcu będziemy mogli wyjechać.

– Pani Kaliny nie było jednak w garażu – odpowiedział policjant.

– Nie. Wkurzyłem się strasznie. Otworzyłem samochód, złapałem za komórkę i zacząłem do niej wydzwaniać. Nie odbierała. Pobiegłem do mieszkania, zacząłem walić i krzyczeć, żeby mi otworzyła. Niestety nie było żadnej odpowiedzi. Przytknąłem więc ucho do drzwi, telefonowałem i nasłuchiwałem, czy w mieszkaniu słychać dzwonek jej telefonu. Nic jednak nie usłyszałem.

– I klucza pan nie miał?

– Nie, nie zabrałem go z mieszkania, gdy zszedłem z bagażami do garażu. Kalina miała zamknąć drzwi.

– Czy takie sytuacje już się zdarzały?

– Jakie? Że nie zabierałem klucza?

– Nie. Że pańska żona zamykała się przed panem w mieszkaniu, a pan próbował dostać się do środka.

– Może raz czy dwa. Czasem kłóciliśmy się dość... intensywnie. Wie pan, Kalina jest temperamentna, a ja... no w sumie też trochę.

– Rozumiem.

Policjant zapisał coś, stukając energicznie w klawiaturę, a ja miałem wrażenie, że właśnie wyrobił sobie ostateczną opinię o tej sprawie – skoro byłem takim furiatem, Kalina musiała mnie zostawić. Ot, po prostu odeszła bez słowa. Niestety za tą teorią przemawiała jeszcze jedna rzecz: jej torba, a raczej brak torby.

– Okej, czyli został pan bez klucza i możliwości dostania się do mieszkania, był pan wściekły, nie mógł się pan skontaktować z żoną – podsumował funkcjonariusz. – Co pan zrobił?

– Zadzwoiłem do Maćka, mojego przyjaciela. Poprosiłem, żeby przywiózł zapasowy klucz. Opowiedziałem mu o wszystkim, a on poradził, żebym popytał sąsiadów, czy nie widzieli Kaliny. Tak też zrobiłem.

– Dowiedział się pan czegoś?

– Gdybym się dowiedział, to...

– Nie byłoby tu pana, jasne. Inaczej sformułuję pytanie: z kim udało się panu porozmawiać?

– Tylko Grudzikowscy byli w domu i ta starsza kobieta spod dziesiątki. I oczywiście nic nie widzieli. Wyszedłem znów przed klatkę, obszedłem całą okolicę, poszedłem nawet do osiedlowego sklepu. Cały czas próbowałem się dodzwonić do Kaliny, wysyła-

łem SMS-y, ale ona nie odpowiadała. W końcu koło dziewiętnastej przyjechał Maciek.

– Jak nazwisko?

– Wyszewski.

– Dzwonił pan do znajomych, rodziny?

– Nie od razu i nie do wszystkich.

– Co to znaczy?

– Maciek poradził mi, żebym poczekał z obdzwanianiem ludzi. Uspokajał mnie, że Kalina po prostu postanowiła ode mnie odpocząć i żebym dał jej trochę czasu. W takim przypadku bez sensu było niepokoić jej rodzinę. Zadzwoiłem tylko do Aśki Petryszki, jej najlepszej koleżanki. Niestety Aśka nic na temat Kaliny nie wiedziała.

– Czy to się już zdarzało? Czy pańska żona „odpoczywała” wcześniej od pana?

– Nie – odpowiedziałem bez namysłu.

Policjant spojrział na mnie badawczym wzrokiem. Pewnie się zastanawiał, czy nie kłamię i czy nie próbuję zatuszować przemocy domowej. Mogłem dać głowę, że będzie wypytywać o nasze małżeńskie relacje sąsiadów. Sięgnąwszy po kawę, odezwał się w końcu:

– To dlaczego pana znajomy pomyślał, że pańska żona tak właśnie zrobiła? Że wyjechała od pana odpocząć? Sugerowała to kiedyś panu?

– Raz lub dwa, oczywiście podczas kłótni i wzburzenia – odpowiedziałem szczerze. – Nie sądziłem, że kiedykolwiek zrealizuje swoją obietnicę. Jednak teraz mam pewną wątpliwość, bo... Zniknęła również jej torba.

– Torba, która leżała zamknięta w bagażniku, podczas gdy pan biegł po bloku? – upewnił się policjant.

Uniósł głowę znad laptopa. Po raz pierwszy wydawał się szczerze zainteresowany.

– Tak. Kalina wzięła z mieszkania zapasowy kluczyk do auta i otworzyła bagażnik. Sprawdziłem, kluczyk zniknął z szuflady.

– Ale jeśli była na pana wściekła, to czemu nie zabrała samochodu?

– Jeżdżę piętnastoletnim uterenowionym subaru. Kalina go nienawidzi. Sama korzysta ze służbowego audi. W tych kwestiach myśli jak facet: to, czym jeździsz, cię definiuje. Nigdy nie zabrałaby subaru.

– Nawet gdyby chciała zrobić panu na złość? – dopytywał funkcjonariusz, pogryzając ciastko.

– Wiedziała, że mi na tym aucie nie zależy. Dla mnie to tylko środek transportu. Do szkoły chodzę na piechotę, a jak potrzebuję dostać się do centrum, wybieram komunikację miejską. Zabierając mi subaru, nic by na tym nie ugrała.

– Czyli mogła wziąć swój służbowy samochód?

– Nie wiem. Na weekendy zostawia go zwykle pod biurowcem. Auto idzie wtedy na myjnię, jakiś przegląd. – Wzruszyłem ramionami i odwróciłem wzrok w stronę okna. Już tak długo się nad tym zastanawiałem, że zaczynałem tracić poczucie rzeczywistości. To wszystko było jak dziwny, popieprzony sen.

Głos policjanta wyrwał mnie z rozmyślań:

– Czy coś jeszcze, oprócz torby, zniknęło? Czy nerka, którą pańska żona rzuciła na siedzenie, została w samochodzie?

– Tak, były w niej chusteczki i jedna karta kredytowa. A z mieszkania... No, nie ma jej portfela, komórki, laptopa i iPada. To wszystko zawsze zabierała ze sobą na wyjazdy.

– Czy te przedmioty spakowała do czerwonej torby?

– Nie, raczej nie. Do laptopa używała zawsze osobnego pokrowca, a w zasadzie takiej większej torebki.

– A co z paszportem?

– Nie miała. Ostatnio skończył nam się termin ważności tych dokumentów, nie wyrabialiśmy nowych.

– Okej – powiedział policjant, przeciągając sylaby. Pewnie zapisał sobie, że musi to jeszcze sprawdzić. Dodał: – Czy oprócz mieszkania na Grabskiego i tego domku letniskowego w Bino-wie macie jakieś inne nieruchomości?

– Nie.

– No dobrze. Zapytam pana jeszcze o kilka kwestii ze stan-dardowego formularza i będziemy kończyć.

Kiwnąłem głową i siorbnąłem ostatni łyk kawy. Funkcjona-rusz skrzywił się nieznacznie i zapytał:

– A czy pańska żona nie zachowywała się ostatnio inaczej niż zwykle? Była podekscytowana, a może przygaszona?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Mogła mieć depresję?

– Kalina? Pan myśli, że mogłaby się zabić? W życiu! Prędeż zabiłaby wszystkich dookoła niż samą siebie. Choć nie zawsze była zadowolona, lubiła swoje życie.

– A często się kłóciliście?

– Nie wiem, co dla pana znaczy „często” w przypadku kłótni małżeńskich.

– Kilka razy w tygodniu, codziennie – odpowiedział.

– Przeciętnie kilka razy w miesiącu mieliśmy większą sprzecz-kę – odparłem ostrożnie po namyśle.

– O co się kłóciliście?

– Muszę odpowiadać na to pytanie?

– Tak – rzucił krótko, przeszywając mnie wzrokiem. – Jeśli pan uważa, że pańska żona mogła zaginać, muszę ustalić, czy faktycznie do tego doszło i czy nie miała powodów, żeby po prostu od pana odejść.

– Mogła to zrobić w każdej chwili: odejść. Jest pewna siebie, silna i zdecydowana. Mogła mi po prostu rzucić papierami rozwodowymi w twarz. Zarabia więcej ode mnie, jest niezależna finansowo. Sama dobrze sobie radzi w każdym temacie: załatwi fachowca albo nauczy się z internetu, jak coś naprawić. Przeżyłaby beze mnie.

– Czyli o pieniądze się nie kłóciliście – podsumował funkcjonariusz.

– Czasem twierdziła, że za dużo wydaję na głupoty, dość dokładnie kontrolowała nasze konto. Ale jeśli już pan musi wiedzieć, najczęściej sprzeczałyśmy się o odmienne priorytety. To znaczy jej życiowy cel jakoś rok temu diametralnie się zmienił: chciała robić wielką karierę i jednocześnie mieć dziecko. Ja miałbym siedzieć w domu i zajmować się bach... to znaczy bąblem. Miała też inny pomysł: żebym zmienił pracę na lepiej płatną. Rzucił szkołę i poszedł do korporacji albo do banku. Kilka razy nawet się odgrażała, że odejdzie, jeśli tego nie zrobię.

– Podejrzewam, że panu się to nie podobało?

– Powiedzmy, że nie ciągnie mnie ani do bycia ojcem, ani do pracy w korporacji.

– W takim razie może właśnie nadszedł ten moment.

– Na odejście? – Musiałem się pohamować, żeby nie zaśmiać się policjantowi prosto w twarz. Widać, że nie znał Kaliny. Szybko dodałem: – Gdyby chciała odejść, zrobiłaby to z przytupem. Ale musiałyby mieć dobry powód, żeby mnie zostawić. Widzi pan, mam dobry kontakt z teściową. Gdyby Kalina zostawiła mnie ze zwykłego widzimisię, matka nie dałaby jej spokoju, ciągle suszyłaby jej głowę, że porzuciła tak wspaniałego człowieka jak ja. Ich relacja była dziwna, ale mimo to żona nigdy nie odcięłaby się od swojej rodziny. I uprzedzając pana pytanie: tak, zadzwoniłem w końcu do teściowej. Kaliny ani u niej nie było

ani do niej nie dzwoniła. Tak naprawdę to... Nikt nic nie wie. Obdzwoniliśmy z Maćkiem wszystkich wspólnych znajomych, koleżanki Kaliny, jej bliższą i dalszą rodzinę. Do nikogo się nie odzywała. A ja... nie mam pojęcia, co robić dalej. – Głos mi się łamał. Miałem nadzieję, że funkcjonariusz w końcu okaże mi krztę empatii. – Zaczniecie jej szukać? – zapytałem.

– Panie Rogudzki, będę z panem szczerzy: pańska żona jest dorosłą osobą i wszystko, co pan mówi, wskazuje na to, że zrobiła sobie po prostu od pana i od wszystkich innych przerwę. Zniknęła razem ze spakowaną torbą podróżną i rzeczami osobistymi. Poza tym nic nie zginęło z mieszkania. Nie zauważył pan też śladów walki ani spustoszenia, prawda? Cóż, oczywiście przeprowadzimy czynności, ale tak naprawdę nie mamy zbyt mocnych podstaw do wpisania pańskiej żony na listę osób zaginionych i rozpoczęcia poszukiwań na większą skalę.

– Nie zapytał pan, czy miała wrogów.

– A miała?

– Chyba ostatnio miała jakąś scysję z klientem.

– Oczywiście, to też sprawdzimy, porozmawiamy z jej pracodawcą. Proszę zapisać nazwę firmy, w której pracuje. – Podsunął mi notes.

Wziąłem do ręki zwykły najtańszy długopis i zapisałem nazwę i adres banku. Kalina zajmowała się klientami VIP w sekcji produktów inwestycyjnych. To przecież możliwe, że któryś z tych nadętych dupków za jej radą wybrał fundusz czy aktywa, które nie przyniosły mu spodziewanego zwrotu. I winą mógł obarczyć Kalinę. Czemu policja nie bierze tego pod uwagę? W Szczecinie nadal zamieszkuje półświatek, a ja wiem, że moja żona swego czasu obsługiwała kilku szemranych gości. Swoją drogą frustratów wyżywających się na kobietach jest wśród nich pewnie niemało.

Rozmyślając, przyglądałem się funkcjonariuszowi, który nagle ze sprawnością doświadczonej sekretarki zaczął klepać w klawiaturę laptopa. Pewnie już marzył o obiedzie, a taki maruda jak ja tylko mu tutaj przeszkadzał. Raz jeszcze rozejrzałem się po pokoju – w niczym nie przypominał tych z policyjnych seriali kryminalnych. To było zwykłe biuro – pod ścianą stały komody ze sklejek, za plecami policjanta wisiał kalendarz z małymi kotkami, a na biurku piętrzyły się papierowe teczki przewiązane bawełnianymi tasiemkami. Żadnych pancernych szaf na dokumenty, tablic ze zdjęciami podejrzanych i makabrycznych scen z miejsc zbrodni czy mapy miasta z zaznaczonymi na czerwono kropkami.

– Proszę zapoznać się z protokołem i podpisać się na samym dole – powiedział funkcjonariusz, podając mi świeżo zadrukowaną kartkę.

Nie zamierzałem czytać tego, co zanotował, i raz jeszcze przez to wszystko przechodzić. Jeśli pominął coś w moich zeznaniach, to z pewnością nie będzie ich teraz uzupełniać. Sprawdziłem tylko swoje dane na pierwszej stronie, a następnie przeszedłem do ostatniej. Widniało tam nazwisko i stopień funkcjonariusza – aspirant Jacek Borudzki, data – siedemnasty maja dwa tysiące dziewiętnastego roku i miejsce na mój podpis. Szybko się podpisałem i przesunąłem kartkę w jego stronę.

Kiwnął głową i spojrzał mi prosto w oczy.

– Panie Rogudzki – odezwał się – mam do pana ostatnie pytanie, takie poza protokołem. Skoro od razu podejrzewał pan, że pana żona zaginęła, dlaczego zgłosił się pan do nas dopiero po tygodniu?

* * *

Aspirant Jacek Borudzki był bardziej zmęczony niż zwykle. Od kilku miesięcy miał małe dziecko, które nosiło w sobie całą wściekłość tego świata. Każdego wieczoru niewinnie wyglądający bobas potrafił wydzierać się godzinami i uspokajać dopiero wtedy, gdy doprowadził oboje rodziców na skraj wyczerpania. Niewyspany policjant nie miał siły zajmować się robotą i najchętniej zamknąłby się w swoim garażu, aby składać modele pojazdów z czasów drugiej wojny światowej. Idąc korytarzem Komisariatu Policji Szczecin-Śródmieście, pomyślał, że taki luksus zupełnego zatracenia się w hobby nie będzie mu dany jeszcze przez kilka dobrych lat. Po kiego grzyba zachciało mu się dzieciaka? Wiedli z żoną takie dobre, spokojne życie, co weekend jeździli na działkę, a latem co drugi tydzień robili sobie wypad nad Bałtyk.

Westchnął ciężko i zamasyżycie otworzył drzwi do stołówki. Otoczył go gwar ożywionych rozmów przeplatanych niecenzuralnymi słowami i wybuchami szczerego śmiechu. Jego koledzy nie mieli większych powodów do zmartwień. Żyli tu jak pączki w maśle – zajmowali się dochodzeniami dotyczącymi drobnych przewinień, w większości jeździli po mieście nowiutkimi radiowozami z suszarką i nabijali rządową kabzę pieniędzmi pechowców. Sprawy większego kalibru niemal od razu trafiały do wojewódzkiej, gdzie prawdziwe asy dochodzeniówki mogły się wykazać. Ci tutaj, gdyby zostali wysłani na miejsce zdarzenia, z pewnością zdeptaliby wszystkie ślady, ułatwiając sprawcy uniknięcie wymiaru sprawiedliwości.

Policjant rozejrzał się po sali. Wypatrzył sierżanta Mikołaja Trecza, który dopiero niedawno dołączył do szczecińskiej jednostki. Przydzielony mu nowy partner wyglądał na rozgarniętego faceta, chociaż już teraz można w nim było dostrzec żyłkę do cwaniactwa i poszukiwania drogi na skróty. Został tu przeniesiony aż z Piotrkowa Trybunalskiego nie za zasługi, a za jakieś

niejasne sprawy. Jak dotąd Trecz zachowywał się w porządku, brał wszystkie dyżury i nawet zastępował kolegów, którzy musieli wyrwać się po dzieciaka do przedszkola albo męczyli się z teściami na niedzielnych obiadkach. Borudzkemu też kilka razy uratował dupę, więc postanowił dać szansę sierżantowi.

Aspirant podszedł do stolika i klepnął Trecza w plecy, a ten niemal zakrztusił się barszczem ukraińskim. Siedzący obok koledzy zarechotali, zaś twarz sierżanta przybrała kolor zupy, którą jadł.

– Co do kur... – zaczął Trecz.

Szybko urwał, gdy zobaczył uśmiech na twarzy kolegi. Sam wybuchnął śmiechem. Zamachnął się ręką, szturchnął przesłodzony kompot, który wylał się na stół, czym po raz kolejny rozbawił swoich kolegów. Śmiał się dalej nieco przez łzy, bo zdał sobie sprawę, że policjanci ze Śródmieścia nie dadzą mu spokoju w następnych tygodniach. Nawet nie chciał myśleć, jaką ksywkę mu przyklepią.

– Nie marnuj jedzenia, Trecz. Domowy kompotik od pani Reni to świetna sprawa. Tyle w nim cukru, że nie trzeba się już w nocy pieścić z żoną! – zażartował Borudzki, szydząc z policyjnej kuchni. – À propos spraw: mam dla ciebie coś na rozgrzewkę. Zaginięcie. Dobre dla takiej świeżyny jak ty.

Sięgnij po więcej!



www.mova.com.pl



facebook.com/wydawnictwo.mova



instagram.com/wydawnictwomova